

MARTYNA KELLER

LIES

Istnieje mrok, którego nie da się poskromić.
Istnieją też więzi, których nie da się rozerwać.



OSTRZEŻENIE

W książce pojawia się temat manipulacji drugą osobą, samobójstwa, przemocy psychicznej i fizycznej, także na tle seksualnym, przez co nie jest ona przeznaczona dla wrażliwych czytelników. Przedstawione w niej relacje nie są zdrowe, autorka nie popiera romantyzowania ich.

*Kochanie, tylko ty jesteś życiem pośród śmierci.
Bring Me To Life – Evanescence*

*Dla mojego brata bliźniaka. Wiedz, że od dnia, kiedy
odszedłeś, ja również zaczęłam powtarzać swoje kłamstwo:
właśnie tam, dokąd się udałeś, jesteś teraz szczęśliwszy.*

Copyright ©
Martyna Keller
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2024
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:

Anna Adamczyk

Korekta:

Karina Przybylik

Karolina Piekarska

Katarzyna Olchowy

Barbara Hauzińska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa

Abedik S.A

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-266-8

PROLOG

MARIGOLD

KIEDYŚ

Dzieciaki z sierocińca w Charleston mają różne dziwactwa.

Myślę, że moje nie jest takie złe. Przynajmniej nie widać go na pierwszy rzut oka, więc nikt nie może krzywo na mnie spojrzeć ani wytknąć mi palcem, jak to się zdarza w innych przypadkach. Ale gdyby wyszło na jaw, że noc w noc leżąc na niewygodnym łóżku, w ciemnościach niewielkiego pokoju, powtarzam po cichu kłamstwa, próbując za tysięcznym razem zamienić je w prawdę, pewnie również zaczęłabym mieć na ogonie jakiegoś terapeutę.

Moja mama, zanim zmarła, powiedziała mi, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy zamienia się w prawdę. A ja chciałam przekonać się, czy rzeczywiście tak jest... lecz wciąż traciłam rachubę, ile razy tak właściwie powtórzyłam dane kłamstwo.

Powinam starać się bardziej. Być dokładniejsza.

Jeszcze raz, mówię sobie. Powinam spróbować od początku.

– Po wyjściu z sierocińca jakoś sobie poradzę – zacynam pod nosem, wciąż mając wzrok wlepiony w szary, pożółkły już gdzieś tam materac, znajdujący się nade mną. Łóżko jest piętrowe, a mnie przypadło to na dole. – Po wyjściu z sierocińca jakoś sobie poradzę...

Przymykam powieki. Podmuch jesiennego wiatru wdziera się do pokoju otwartym na oścież oknem, a wraz z nim szum gałęzi drzew rosnących naokoło sierocińca. Biorę głębszy wdech. Otwieram powoli oczy i krzywię się, bo nie mogę się skoncentrować. Ten dzień był do dupy. Millie, do niedawna moja współlokatorka, poszła na swoje. Zostawiła mnie tutaj samą.

Coraz bardziej boję się dnia, kiedy za parę miesięcy, gdy skończę osiemnaście lat¹, pójdę w jej ślady. Millie miała przynajmniej dalekich krewnych w Europie. A ja? Ja nie mam nikogo ani niczego prócz swojej małej obsesji na punkcie głupiego powtarzania kłamstw.

Podrywam się z ociąganiem do siadu. Rozglądam po niedużym pokoju. Jest pusty i ciemny, nadal pachnie w nim do przesady słodkimi perfumami Millie. Nawet nie wiem, kiedy stoję już na nogach tuż przy drzwiach cienkich jak papier i, zaciskając palce na rękawach starego, znoszonego swetra, przyciskam ucho do twardej powierzchni.

Muszę zaczerpnąć powietrza. Otwarte okno mi nie wystarcza.

Potrzebuję uciec na zewnątrz.

Przez chwilę stoję nieruchomo przy drzwiach i uważnie nasłuchuję. Jest już późno. Chyba dochodzi druga w nocy, a dyżur pełni dzisiaj starsza pani Dawson. Powinam więc bez trudu wydostać się z pokoju, a później z budynku, aż w końcu wyruszyć w ulubione miejsce. Wiem, że to, co robię, jest zakazane, ale to nie pierwszy raz. Nikt mnie nie złapie.

W dogodnym momencie wkraczam w zaciemniony korytarz i ostrożnie zamykam za sobą drzwi. Pośród mroku nie dostrzegam nikogo. Jedynie mętne światło wylewające się z pokoju dla opiekunów podpowiada mi, że ktoś pilnuje tutaj porządku. Czym prędzej ruszam bezszelestnym krokiem w przeciwnym kierunku. Wtapiam się w czerni i oddycham nieco ciężiej, a już po paru minutach truchtu docieram do właściwych drzwi.

¹ Wiek, w którym w Stanach Zjednoczonych opuszcza się sierociniec, zależy od danego stanu. Na potrzeby książki autorka przyjęła, iż w Karolinie Południowej jest to osiemnaście lat (przyp. red.).

Za nimi znajduje się pomieszczenie gospodarcze.

Nieduża suterena.

Pachnie tu zgnilizną. Domyślam się, że jestem jedyną osobą odwiedzającą to miejsce. Przekręcam klucz i widzę, że nikt nadal nie zburzył mojej konstrukcji, która pozwala mi wspiąć się do okna, a potem wydostać się przez nie na zewnątrz. Mknę do niej śladem światła księżyca wpuszczonego do klitki przez szyby. Następnie wdrapuję się po starych krzesłach na szczyt mojej prowizorycznej drabiny i przedostaję na tyły sierocińca.

Staję niezgrabnie na nogi i rozglądam się wokoło. Za budynkiem jak zwykle nikogo nie ma. Mimo zimna, które odczuwam, ubrana tylko w lekki sweter, nie wycofuję się. Ostatni raz strzeżuję z siebie kurz. Chcę ruszyć w stronę pobliskiej dziury w ogrodzeniu, gdy wtem... czyjaś dłoń zamyka się na moich ustach.

Otwieram szeroko oczy.

Przerażona zaczynam spazmatycznie dyszeć. Druga ręka nastpnika nagle zostaje przełożona przez mój brzuch. Nie mam żadnego pola manewru. Wiercę się, jak mogę, lecz zapewne rosły mężczyzna jedynie szczelniej mnie do siebie przyciąga i obezwładnia.

– Chcesz narobić sobie problemów? – słyszę męski ton tuż przy uchu.

Zaciskam mocno powieki i na powrót je uchylam.

– Sierociniec zakazuje takiej samowolki.

Szarpię się, ale to nic nie daje. Czuję na plecach twardą, rozbudowaną klatkę piersiową. Facet przyciska mnie do niej tak mocno, że ilekroć próbuję się uwolnić, on zdaje się otaczać mnie sobą jeszcze bardziej. Dłoń, którą trzyma na moich ustach, jest szorstka i masywna.

Nie widzę nic przez łzy, a on wciąż coś do mnie mówi.

– Odsunę się, ale dla swojego dobra masz być cicho, jasne?

Nie odpowiadam. Przecież nie mogę. Jedynie nieruchomieję, co nieznamy uznaje za zgodę. Pomału się odsuwa, a ja prze-

łykam łzy, które wypłynęły mi spod powiek. Zaczerpuję raz po raz wdech i zrywam się z miejsca, by przywrzeć całą sobą do zimnego betonu budynku.

Mężczyzna wyrasta przede mną, lecz zatrzymuje się w bezpiecznej odległości.

Drapię paznokciami ścianę. Moja klatka piersiowa unosi się i opada, kiedy na niego patrzę. Nie wiem, kim jest. Co tu robi. Jest facetem o potężnej posturze, szerokim w barkach i wysokim jak diabli. Fakt, że na oko wygląda, jakby zbliżał się do trzydziestki, jedynie napędza mój strach. Drzę i natychmiast próbuję czmychnąć mu sprzed nosa, lecz on jest szybszy.

Zwinniejszy i przerażający, gdy owija długimi palcami mój nadgarstek.

– Zawołam opiekunkę! – ostrzegam przez ściśnięte gardło, znowu czując napływające do oczu łzy. – Nieznajomi nie mają prawa tu być. Gdy pani Dawson się o panu dowie, od razu zadzwoni na policję i...

Mężczyzna uśmiecha się kącikiem ust.

– ...i po tym, jak to zrobi, ta stara jędzka ześle na ciebie każdą karę, jaką tylko mogłaby na ciebie zesłać, bo wymknęłaś się z pokoju, mimo że wiedziałaś o tym, że jest to surowo zakazane, zwłaszcza w środku nocy – dokańcza za mnie z pewnego rodzaju kpina.

Włosy zachodzą mi na twarz. Oddycham coraz wolniej.

– Nie histeryzuj – dodaje jeszcze. – Jestem po twojej stronie.

– Jesteś dziwakiem. Zostaw mnie.

Wyrywam rękę z jego uścisku i ruszam, choć nawet nie wiem dokąd.

– Jestem nowym opiekunem – słyszę jego głos i... zatrzymuję się w pół kroku.

Po prostu przystaję w miejscu, wystawiona na jesienny wiatr.

– Kim? – Sama nie wiem, czy to jedno słowo opuściło moje usta, czy też powtórzyłam je w myślach. Przelykam bardzo powoli ślinę, patrząc w dal, na upiorny las otaczający posesję.

– Nowym opiekunem. Dlatego przemyśl dobrze, czy chcesz biec do Dawson. Przysporzysz sobie tylko problemów, wiesz?
– Znowu czuję za sobą obecność mężczyzny. – Możesz albo biec do niej, albo spróbować się ze mną dogadać, mała przebiegła uciekinierko.

Zaczynam drzeć jeszcze bardziej. Mój rozmówca widzi to i po chwili czuję na ramionach okropnie ciężki materiał jego skórzanej kurtki. Zatopiona w niej wzdrygam się i odwracam ku brunetowi, czując się odrobinę pewniej z myślą, że to podobno pracownik sierocińca.

– Chcesz tego drugiego – przekonuje mnie nieznajomy.
– Oboje wiemy, że nie marzysz o wygrzebywaniu petów z trawy w ogrodzie ani sprzątaniu stołówki do końca miesiąca.

Tak, Dawson z pewnością dałaby mi podobną karę.

– Nie marzę również o dogadywaniu się z kimś takim jak ty – szepczę szczerze.

Mężczyzna przygląda mi się uważnie. Ma mroczne, nieustępliwe spojrzenie.

– Zastanów się, co będzie dla ciebie gorsze: tortury tej jędzy czy przyjaźń ze mną?

– Że co z tobą? – Marszczę czoło.

– Przyjaźń. Możemy się zaprzyjaźnić.

Zadzieram brodę, bo facet jest naprawdę wielki. Jego ciemne, brązowe oczy skupiają się na mnie przez każdą jedną sekundę ciszy, w trakcie której nie odzywamy się do siebie.

Aż w końcu spomiędzy jego ust wydostaje się kilka słów:

– Mogę ułatwić ci życie tutaj. – Wskazuje kiwnięciem na budynek sierocińca, a potem na powrót krzyżuje ze mną spojrzenie.

– Przymykać oko na twoje uciezki. Mogę ci pomóc. – Z chwilą, kiedy to mówi, zwracam uwagę na złotą obrączkę na jego palcu.

Natychmiast koncentruję się ponownie na jego osobie.

– Niby za co będziesz to wszystko robił? – pytam podejrzliwie.

Zbliża się do mnie. Ujmuje w dłoń mój podbródek. Czuję dreszcz przeszywający całe ciało, kiedy znowu cień uśmiechu przemyka przez jego... przystojną twarz. Dopiero teraz, gdy w świetle księżyca mogę przyjrzeć mu się dokładniej, dociera do mnie to, jaki jest atrakcyjny. Tłumię w sobie jednak podobne myśli. Zwłaszcza że to podobno nowy opiekun.

– Jak się nazywasz? – pyta, unosząc delikatnie brew.

– Marigold. Marigold Harding.

Odpowiada mi skinieniem.

– W porządku, Mari. Ja jestem Maverick i nie chcę od ciebie niczego w zamian za to, że będę przy tobie, gdy będziesz mnie potrzebować – mówiąc to, brunet opuszcza bezwiednie rękę i odwraca wzrok, by rozejrzeć się po ponurym ogrodzie. – Gdzie chciałaś pójść?

Odchrząkuję, a szelest liści rozwiewanych przez wiatr staje się głośniejszy.

– Niedaleko stąd jest przejście na plażę – wyznaję cicho.

Maverick pozostaje spokojny, kiedy kiwa głową.

– Chciałaś iść na plażę. W porządku, możesz iść.

– Tak po prostu puszczasz mnie wolno? – dociekam zdziwiona.

– Tak po prostu puszczam cię wolno.

To... dziwne. To naprawdę bardzo dziwne.

– I nie podkablujesz mnie nikomu? – ciągnę.

Mężczyzna spogląda na mnie i od razu potwierdza:

– Nie podkabluję cię nikomu. Może kiedyś przejdę się tam z tobą?

Przez chwilę nie odzywam się ani słowem. Przynajmniej już nie drzę jak galareta, tak jak na samym początku, ale wciąż odczuwam opór przed zaufaniem komuś pokroju Mavericka. Nawet go nie znam. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę nie poleci na skargę? Może rano będzie czekała na mnie niemila niespodzianka? Może on tylko tak mówi, że nikomu mnie nie wyda?

– Chyba trochę cię zmęczyłem – słyszę jego rozbawiony ton i dopiero teraz orientuję się, że przeciągle ziewam.

Zawstydzona od razu przytykam dłoń do rozdziawionych ust i spuszczam wzrok na swoje znoszone, brudne od błota trampki. Po niedługim czasie podejmuję pewną decyzję.

– Dlatego jednak odpuszczę sobie wycieczkę.

Mógłby w końcu pójść za mną, a ja nie mam pewności, czy rzeczywiście jest opiekunem w tym obskurnym sierocińcu. Zsuwam ze zmarzniętych ramion skórzaną kurtkę i podaję mu ją.

– W takim razie wracaj do pokoju. No chyba, że potrzebujesz z kimś jeszcze przez moment pogadać. – Maverick mówi to i przyjmuje ode mnie ubranie.

Unoszę wzrok na jego twarz.

– Chcesz... mnie słuchać?

Dawno nikt nie chciał mnie słuchać. Nawet Millie, kiedy tu jeszcze była, uważała, że plotę non stop rzeczy, którymi nikt normalny się nie przejmuje. Maverick marszczy brwi i, zakładając bez pośpiechu kurtkę, dopytuje:

– Chyba tak postępują znajomi? Słuchają się.

Nadal zaskoczona nawijam materiał swetra na dłoń. *Tu musi być jakiś haczyk. Kto by tego chciał? Kto chciałby się z tobą zadawać, sieroto?*

– Raczej – odpieram niepewnie. – Muszę iść. Na pewno będziesz mnie kryć?

Maverick przytakuje.

– Tak. Nie martw się o to i do zobaczenia jutro.

Posyłam mu ostatnie spojrzenie, a potem wracam do swojego przejścia.

Przeciskam się przez okno, przemykam przez niedużą klinkę i bezszelestnie pokonuję korytarz, żeby na końcu znowu wtargnąć do swojego skąpanego w ciemnościach pokoju, rzucić się na brudny materac i zacząć powtarzać po cichu: *zaufanie mu nie okaże się błędem.*

Nie udaje mi się powtórzyć swojego kłamstwa tysiąc razy.

Ale wierzę, że jeśli zacznę mu ufać... nie popełnię błędu.